ROK 1. CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM i SZKOŁA

№ 35. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 6 październ. 1929.
WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA



Uczestnicy wycieczki zorganizowanej przez pismo „Świat, Dom i Szkoła" na chwilę przed odjazdem na P. W. K.

WANDA WRÓBLEWSKA.

ZAJĘCIA POZALEKCYJNE.

Dzięki Komisji Opiek Szkolnych przy Radzie Szkolnej m. st. Warszawy uruchomione były w wielu szkołach powszechnych zajęcia pozalekcyjne, celem których było zatrudnić uczniów, nie mających gdzie spędzać po obiedzie wolnego czasu, pożytecznemi, a godziwemi pracami lub rozrywką.

W tym celu zorganizowane były świetlice, warsztaty stolarskie, kilimkarskie dla dziewcząt, a nawet i warsztaty zabawkarstwa, mające na celu z prymitywnych materjałów, jak: papier, bibułka, zapałki, wełna, guma, drut, wyrabiać piękne zabawki, które, jak wiemy, w większości sprowadzają z zagranicy.

Nie spędza więc młodzież bezowocnie czasu na ulicy, czy podwórzu, w nieodpowiedniem towarzystwie, lecz, gdy ma ochotę, idzie po południu do szkoły, gdzie uczy się nowych, praktycznych rzeczy, a nieskrępowana zgóry narzuconym programem, staje się twórczą i pełną inicjatywy.

Możność dowolnego wyboru w zajęciach pozalekcyjnych wzbudza wielkie zainteresowanie i zamiłowanie do pracy. Oczywiście, nad wyborem pewnych grup musi czuwać kierownik szkoły, czy wychowawca łącznie z opieką domową. Dzieci nie powinny być przemęczone, nie powinny zajęcia pozalekcyjne rozwijać się z uszczerbkiem normalnych zajęć szkolnych, dlatego musi być racjonalny wybór i podział pracy, gdyż inaczej prędko się uczeń znuży, zniechęci, a co, nie daj Boże! polubiwszy zajęcia pozalekcyjne, znienawidzi lekcje szkolne. Musi więc być wielka dbałość kierownictwa szkoły, aby jedno z drugiem harmonijnie łączyć, żeby nie utracić dobrego ucznia i dobrego pozalekcyjnego pracownika.

Wielkiem dobrodziejstwem są zajęcia pozalekcyjne szczególniej dla biednej dziatwy, których rodzice zajęci całodzienną pracą, nie są w stanie czuwać nad wychowaniem swoich dzieci, lub ciasne, wilgotne izdebki, czy sutereny, zapełnione kilku rodzinami, nie dają możności swobodnej pracy uczniowi.

W szkole, której jestem kierowniczką, widzę wielką wydajność i owocność zajęć pozalekcyjnych; stwierdzam, że wychowawczo dzieci bardzo się urabiają: stają się grzeczniejsze, pracowitsze, bardziej uspołecznione, zżyte ze szkołą, z kolegami, wyrabia się poczucie zrozumienia wartości swoich zdolności i usiłowań, chęć poznania nowych sposobów i metod w wyrabianiu coraz to innych przedmiotów. Ranna nauka teoretyczna, poobiednia — praktyczna, uzupełniają się wzajem. Ze szkoły uczniowie wracają do domu o 13-ej godzinie. Co robić całe popołudnie i wieczory, szczególniej, gdy w domu ponuro, zimno, lub krzyki i płacz młodszego rodzeństwa? Wałęsa się z kąta w kąt po ciasnem mieszkanku, zawadzając swą osobą, czy to pracującemu ojcu, matce, czy rozbawionym dzieciakom; najczęściej wybiega na podwórze lub ulicę.

Nieraz po szkole powszechnej oddają rodzice swe dzieci na praktykę do stolarza, na kilimkarstwo, szycie, drogo opłacając przez kilka lat majstra, — jeśli w ciągu 4 — 3 lat będzie taki uczeń chodził na zajęcia pozalekcyjne, przygotuje się i skróci sobie termin pracy, gdyż nabierze zręczności w rękach.

Tak więc zajęcia pozalekcyjne urabiają zdolną i twórczą jednostkę.

ZAJĘCIA POPOŁUDNIOWE W SZKOLE Nr. 4

Ponieważ dzieci poza zajęciami szkolnemi mają dużo wolnego czasu, który mogłyby zużyć jak najgorzej, postarała się szkoła, by czas ten mogły dzieci spędzić i przyjemnie i pożytecznie. W tym celu, biorąc pod uwagę rozmaite upodobania dzieci, urządzono dla nich cały szereg pogadanek, połączonych z wyświetlaniem przeźroczy, wprowadzono sporty, gry i zabawy i wreszcie uruchomiono pozaszkolną pracownię robót ręcznych. Zajęcia w tej pracowni prowadzone były w r. b. cztery razy w tygodniu po 3 godziny dziennie. Chłopcy byli podzieleni, stosownie do wieku i zaawansowania, na dwie grupy. Pierwsza grupa, młodsza, miała zajęcia w poniedziałki i czwartki, druga we wtorki i piątki w godzinach od 5 do 8-ej popoł. Ogółem obie grupy liczyły 45 chłopców z klas czwartej, piątej, szóstej i siódmej.

Jak wszystkie zajęcia pozaszkolne, tak i roboty ręczne nie były obowiązkowe, musiały więc, aby istnieć, oprzeć się na złotej zasadzie życia — łączyć przyjemne z pożytecznem. Na czem polegała przyjemność? O to należałoby zapytać tych kilkudziesięciu chłopców, którzy nieprzymuszenie, zupełnie dobrowolnie przez cały rok na zajęcia te przychodzili. Nie groziły im represje ze strony szkoły, rodzice naogół mało, nawet zamało, interesowali się tą kwestją, tysiące złych okazyj kusiło ich, — a jednak przychodzili. Przychodzili, nie żeby nam zrobić przyjemność i nie dlatego, że zdawali sobie sprawę z korzyści, jakie z tego osiągną, lecz poprostu dlatego, że zajęcia te podobały im się, że mogli zaspokoić swoje chęci wykonywania potrzebnych im rzeczy, że w tych właśnie zajęciach mogli wyładowywać swoją energję. A skoro tak, to zajęcia te były bardzo potrzebne.

Jakie korzyści chłopcy odnieśli?

Nie chodziło o to, aby zrobić z nich stolarzy, ślusarzy, czy blacharzy, ani o to, by przygotowywać ich do tego, czy innego zawodu. Chodziło przedewszystkiem, jak już zaznaczyliśmy na początku, aby chłopiec dobrowolnie porzucił próżniactwo, często wałęsanie się po ulicy, a niekiedy i łobuzerstwo, dla zdrowej i pożytecznej pracy. Inne korzyści wypływają już same z istoty rzeczy.

Chłopiec coś w swej głowie tworzył, następnie starał się swój pomysł wykonać; uczył się więc konstruować, rozwijał sprawność ręki i oka, wyrabiał zaradność życiową, ćwiczył w wytrwałości i cierpliwości, zapoznawał z materjałem i narzędziami, z któremi w życiu na każdym kroku spotykać się musi, przyzwyczajał się do pracy, uczył się ją rozumieć, a przeto i szanować.

Nam, prowadzącym te zajęcia, nie zależało specjalnie, co ten lub ów chłopiec zrobi, nie narzucaliśmy żadnych modeli, radziliśmy tylko, by każdy wykonany przedmiot był celowy i użyteczny. Dbaliśmy jeszcze o jedno, a mianowicie, by to, co chłopiec robi, robił czysto i możliwie dokładnie. Lecz i tu nie chodziło nam tyle o sam przedmiot, ile o kształcenie młodego charakteru, o wyrabianie zamiłowania do porządnej roboty. A trzeba dodać, że pod tym względem natrafialiśmy często na dość mocny opór, wypływający już to z braku wytrwałości, czy cierpliwości, już to z wrodzonego nastawienia na niedokładność i nieporządek. Zwalczanie tej wady wymagało dużej ostrożności ze strony prowadzących zajęcia, gdyż łatwo mogła spowodować zniechęcenie, a co zatem idzie i wycofanie się chłopca z zajęć. Każdy z chłopców, pomimo niewielkiej ilości godzin, wykonał po pięć i więcej modeli, z których część, jak rozmaite oprawki, trzonki, młotki, zostały odrazu używane na zajęciach, część, szczególnie na początku wykonanych przedmiotów została chłopcom wydana, reszta zaś przechowana do wystawy. Ocenę przedmiotów pozostawiamy kierownictwu szkoły, rodzicom i osobom zainteresowanym.

Jastrzębski.

Sobczyński.

Serafinowicz,
opiekun główny.

Warszawa, 24.6 1929 r.

KOŁO MIŁOŚNIKÓW OGRODNICTWA

Podczas okupacji niemieckiej w 1917 r. powstało w Warszawie Koło Miłośników Ogrodnictwa. W cztery lata później zawiązała się przy Kole Sekcja Zdobienia Szkół Roślinami. Sekcja weszła w porozumienie z kierownikami szkół powszechnych. Opracowano wspólnie plan działania, który rozszerzał się w miarę, jak coraz więcej szkół oddawało się pod opiekę Sekcji. Obecnie Sekcja ma pod swą opieką 69 szkół.

Rok rocznie na jesieni Sekcja rozdaje szkołom rośliny doniczkowe, które dzieci hodują w szkole przez cały rok szkolny, a pod koniec maja lub na początku czerwca dostarczają je na wystawę, urządzaną przez Sekcję. Oprócz roślin doniczkowych dzieci wystawiają rośliny, wyhodowane z nasion, otrzymanych na wiosnę od Sekcji. Szkoły, które posiadają własne ogródki, dostarczają plony z własnych zagonów. Dzieci, które przedstawiły zdrowe, ładnie wyhodowane i czysto utrzymane rośliny, otrzymują w nagrodę za swe starania nową roślinę doniczkową. Prócz tego nagradzane są szkoły, w których, dzięki pracy uczniów, hodowla roślin rozwija się pomyślnie.



Przewodniczący Koła przemawia do dzieci.



Małe ogrodniczki.

Najlepiej praca rozwija się w szkołach, w których utworzono Kółka Miłośników Ogrodnictwa, które są jakby filjami „dorosłego“ Koła. Członkowie tych Kółek nietylko opiekują się roślinami szkolnemi, ale także bardzo chętnie zbierają się na pogadanki, wygłaszane przynajmniej raz na miesiąc przez instruktorkę, prowadzą protokóły tych zebrań, robią pod kierunkiem instruktorki ciekawe doświadczenia ze swemi roślinami. Treścią pogadanek jest hodowla roślin doniczkowych, przesadzanie, sadzonkowanie i t. p., przyczem często pogadanki połączone są z ćwiczeniami praktycznemi. Kółka takie zawiązały się już przy dwunastu szkołach. Rok szkolny dopiero się zaczął, a już dwie szkoły, pozostające od kilku lat pod opieką Sekcji zgłosiły chęć utworzenia Kółek, przekonawszy się, że to daje najlepsze rezultaty. Po roku pracy w Kółkach, członkowie ich otrzymują od Koła odznaki honorowe. W ubiegłym roku szkolnym rozdano takich odznak przeszło 300.

Przed świętami Wielkanocy Sekcja urządza wystawę przedmiotów, zdobionych rzeżuchą, stawiając dzieciom warunek, aby pomysł był

oryginalny: nie doniczka i nie krzyż, tylko coś zupełnie nowego. Dzieci doskonale wywiązują się z zadania: pomysły ich przeszły oczekiwania organizatorów. W ubiegłym roku szkolnym pierwsze nagrody otrzymali uczniowie klasy VI szkoły Nr. 8 za „Puszczę“ i uczeń klasy IV-ej szkoły Nr. 192 za „Wieś“. Pozatem wyróżniono kilkanaście innych pomysłów.

Koło Miłośników Ogrodnictwa dąży do tego, aby każda szkoła, nieposiadająca własnego ogrodu, miała zagonki, na których dzieci mogłyby pracować, oraz, aby każde dziecko w szkole posiadało własną roślinę. Niestety, ze względu na szczupłość lokali, w których szkoły pracują na dwie, a często na trzy zmiany, tymczasem program ten jest niemożliwy do urzeczywistnienia.

Rozpoczął się nowy rok szkolny i Sekcja Zdobienia Szkół Roślinami przystępuje znów do pracy. Pracę swą, jak co roku, rozpoczyna od rozdania szkołom roślin doniczkowych, które będą służyły za materjał do doświadczeń i pogadanek. Rozdawnictwo roślin odbywa się, jak zwykle, w Łazienkach Królewskich w Nowej Pomarańczarni. Każda szkoła otrzymuje po 10 doniczek. Ogółem więc w roku bieżącym Sekcja rozda szkołom 700 doniczek roślin. Każda szkoła wybiera delegację, złożoną z dziesięciorga dzieci, która pod kierunkiem nauczyciela, przybywa odebrać przeznaczone rośliny. Rodzice dzieci są mile widzianymi gośćmi. Rozdawnictwo odbyło się w sobotę, dnia 21-go b. m., o godzinie 5-ej po południu.





Rozdawnictwo roślin dzieciom w Nowej Pomarańczarni.

MARJA WYSZNACKA.

W SŁUŻBIE WOLNOŚCI

KAZIMIERZ PUŁASKI

Gdzie głośniej rozbrzmiewać dziś winno jego imię? Czy w Polsce, której był synem i za którą walczył, czy w Ameryce, za którą zginął?

150 lat temu wsiąkła w daleką ziemię Stanów Zjednoczonych Ameryki krew bohatera.

Krew jego i tylu, tylu jego towarzyszy...

150 lat, a pamięć żywa!

Ameryka, dla uczczenia tej pamięci, stawia mu dziś pomnik, my poświęćmy mu chociaż wspomnienie. Kim był, za co walczył? Jak wielką była sprawa, która porwała go aż za Ocean, jak bohaterską była śmierć, której pamięć nie zginęła?

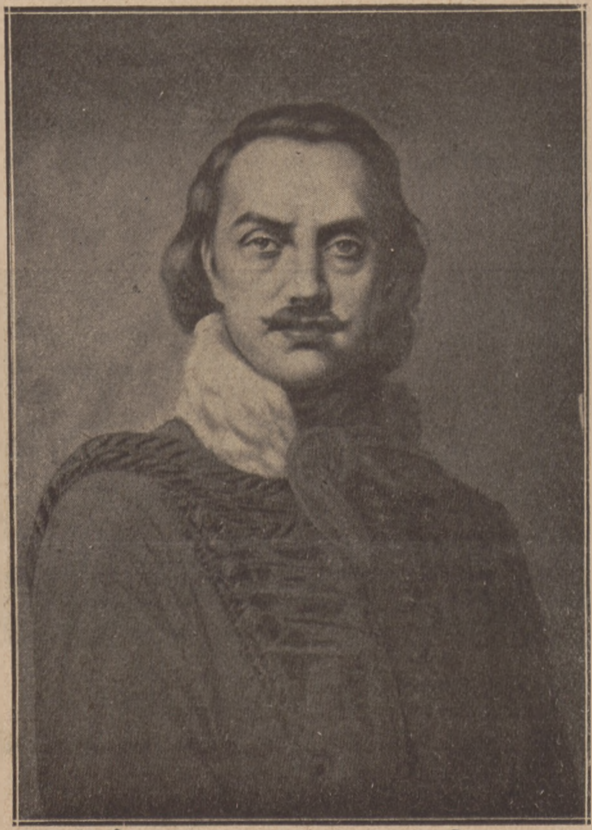
. . . .

Był synem Polski upadającej.

Pozornie wolną była jeszcze Rzeczpospolita w 1768 roku bo i król zasiadał na zamku w Warszawie, i sejm, i pod bronią było wojsko, lecz już

pierwszą osobą w Warszawie był ambasador imperatorowej Rosji Katarzyny, już gwałcono swobodę słowa na sejmie, już pod bokiem króla porywano i wywożono do Kaługi czterech senatorów. Milczała zalękniona opinja, naród sterroryzowany lękał się wojny z Rosją, lękał się niezadowolenia Carowej słaby król Stanisław August Poniatowski.

...Lecz tam na odległym Podolu w małem miasteczku Barze osobliwy wre ruch. Ściągają



Kazimierz Pułaski.

zastępy drobnej, przeważnie niezamożnej szlachty.

Marzec. Wczesna wiosna. Słońce wesoło oświeca wieże kościoła i baszty zamku. Tu i owdzie na okopach zieleni się młoda trawa, pod zamkiem połyskuje rzeka, dalej jezioro. Na wzgórzu ołtarz. Wkoło rycerski zbrojny hufiec. U stóp ołtarza chorągiew ze srebrnej lamy. Na chorągwi Chrystus i Matka Boska. Na piersiach chorążego czerwony haftowany krzyż. Na innej chorągwi lśni Biały Orzeł. To konfederaci Barscy.

Tu w Barze zawiązali zbrojny związek w obronie wolności.

Zgodnym chórem okrzyknęli marszałkiem Józefa Pułaskiego, starostę wareckiego.

Przy marszałku trzej synowie, wśród nich Kazimierz, przyszły bohater obu półkul.

Twarde te słowa manifestu barskiego ...niechże ten naród polski, który w nieporównanem męstwie i sławie swoje królestwa morzami ograniczył, zbudzi się cnotą staropolską i przykładami mężnych przodków swoich do ratunku strapionej ojczyzny, która się naszym synowskim poleca afektom i doprasza w tej ostatniej toni dowodów powinnej miłości.

. . . .

Nie pomieściły ich okopy Baru.

Widziała ich walczących Wielkopolska, ziemia Krakowska i Sandomierska.

4 lata uganiali się za wrogiem kryli między skałami, tułali po lasach, napróżno wyglądając spodziewanej z Zachodu pomocy.

Już dawno poległ Józef Pułaski i dwóch jego synów. Został Kazimierz. On stał się duszą walki.

Cały poświęcił się dla sprawy wolności. Gdy już wszystkie sztandary padły w walce on był sztandarem.

W ślad za błyskiem jego szabli rwała się coraz słabsza, lecz zawsze harda pieśń konfederacka.

„Z wrogami swymi nie wejdziem w przymierze.
I przed najazdem nie ugniemy szyi,
Bośmy Ojczyzny i Krzyża żołnierze słudzy Marji.
W obronie wiary, Polski i wolności,
Miłe nam rany i słodka śmierć sroga,
Bo przez cierpienia i grobu ciemności
Idziem do Boga.
Wolni zwyciężym lub umrzem wolnymi
Lecz się nie cofniem, bo serc naszych męstwo
Płynie z miłości; hasłami naszemi,
Śmierć lub zwycięstwo.

. . . .

Lecz coraz częściej urywała się pieśń razem z życiem...

Przemoc brała górę. Dalekie pola Syberji zobaczyły pierwszych polskich zesłańców...

Kto uniósł z pola walki życie a chciał unieść i wolność, ten musiał już szukać schronienia na obcej ziemi.

. . . .

A tymczasem na obezwładnionem ciele Rzeczypospolitej dokonano bolesnych cięć: dopełnił się pierwszy rozbiór Polski.

Kazimierz Pułaski dowiedział się o tej strasznej nowinie we Frankfurcie, dokąd się udał przez Śląsk i Drezno. Nie była to bierna ucieczka. Było to szykowanie się do nowego skoku na wroga, był to rozpęd do nowej walki. Wszak zaprzysiągł swe życie walce o wolność.

Turcja jedna zakłada protest przeciw rozbiorowi Polski.

Więc 10 marca 1774 r. w Sylistrji 40 polaków oddaje się pod komendę Pułaskiemu. Maleńki to był oddział lecz każdy żołnierz starczał tam za 10-ciu. Kilkakrotnie ścierał się z Moskalami, lecz główna armja turecka za wcześnie kapitulowała. Stanął pokój.

. . . .

A gdy potem długie miesiące rozmyślał w Stambule, jak dalej służyć sprawie wolności, przyniosły gazety cudowne a przedziwne wieści.

W dalekiej Ameryce kolonja Angielska wypowiedziała wojnę Anglji. Pracowici osadnicy, przetwarzający już od 300 lat dziewiczy kraj w Świat Pracy i Bogactwa, zapragnęli być panami krwawym potem użyźnionej ziemi. Sztandar wolności, chwycony przez silne ramię Waszyngtona, załopotał nad światem. Uczony Franklin przyjechał z Ameryki do Paryża, aby werbować robotnika.

Na pierwszą wieść o tem Pułaski podążył do Paryża.

W małej wiosce pod Paryżem Pułaski mówił do Franklina:

„W narodzie naszym obrzydzenie jest do wszelkiej tyranji, a zwłaszcza do cudzoziemskiej, więc gdzie na kuli ziemskiej biją się o wolność, to jest jakgdyby nasza, własna sprawa".

Takie było jego wyznanie wiary, z takiem przekonaniem siadł na okręt w Hawrze, 20 sierpnia 1777 r. wylądował na II półkuli i podążył do armji Waszyngtona.

Zdala już ujrzał szałasy z chrustu, a naokoło nich gromady obdartusów. Różne tam były ubiory, liche buty, a najczęściej brak butów. Było tego z 10.000. Zewnętrzny wygląd nie wzbudzał zaufania lecz Pułaski ocenił to wojsko inaczej:

„Nie mają butów, ale mają serce".

I znów garść polskich ochotników skupiła się pod nowym sztandarem.

Czy istotnie pod nowym? Czy nie był to ten sam sztandar który szumiał nad ich głowami w Barzę, sztandar Wolności tyle razy wdeptywany w ziemię a zawsze dumny, zawsze podnoszący się, zawsze sercu bliski?

. . . .

Od kongresu otrzymał nominację na brygadjera jazdy. Więc ćwiczył te dwa pułki w pocie czoła całą zimę. Uczył je nietylko służby, lecz i dyscypliny wojskowej. Z gromady od roli i od warsztatu oderwanych kolonistów czynił armję.

A gdy tak trudził się Pułaski w okolicach Filadelfji, w tym samym czasie na północy na granicy Kanady w mundurze inżyniera wojskowego pracował Tadeusz Kościuszko.

Na II półkuli spotkali się i poznali ci dwaj bohaterowie.

Walka z Anglją była ciężka. Z jednej strony przewaga liczebna i techniczna, z drugiej niekarność młodego żołnierza, intrygi...

Wtedy tworzy Pułaski mały lecz wzorowy korpusik polski. Goni i ściga bandy Indjan — sojuszników Anglji wojowników śmiałych a okrutnych.

Dopiero pod koniec września 1778 działania wojenne wzmagają się. Amerykanie otrzymują pomoc Francji. Rozpoczyna się oblężenie miasta Sawannok, oblężenie ciężkie, przewlekłe od lądu i od morza. Wówczas w umyśle Pułaskiego powstaje plan bohaterski. Puści się ze swym oddziałem wolną drogą między okopami pod ogniem nieprzyjacielskim, wpadnie do miasta, wznieci popłoch, przeważy zwycięstwo.

Pomyślał... Już 200 koni rusza z miejsca, lecą wichrem, może przepłyną to morze ognia, może dopadną do miasta?... Lecz cóż to? Już koń Pułaskiego pędzi naprzód bez jeźdźca. Bohater leży we krwi. Jedna kula trafiła w pierś, inna urwała nogę... Nieprzytomnego unoszą z placu... Jeszcze jeden okrzyk „Jezus, Marja, Józef", jeszcze w gorączce kilka bezładnych słów o Polsce, jeszcze jedna, ostatnia godzina życia...

Było to 9 października 1779 roku.

Nie oglądały już jego oczy zwycięstwa, nie oglądały tej radosnej chwili, gdy nowe państwo zwane Stany Zjednoczone Ameryki Północnej witały w zwycięskim wodzu, Waszyngtonie, pierwszego swego prezydenta.

Zginął towarzysz oddany, dzielący się ostatnim kąsem chleba, świetny szermierz, któremu nikt nie sprostał na szable, surowy żołnierz odważny do szaleństwa, Polak wierny, tonącej Ojczyzny honor ratujący, Człowiek, dla którego idea Wolności była najpierwszem prawem, zaprzysiężony tej Wolności obrońca.

Cześć jego pamięci.

WANDA MELCER-SZTEKKEROWA — POWIEŚĆ

POŚCIG Z PAMPASÓW.

(Ciąg dalszy).

— Gdyby nie naznaczali takiego dużego cła, to by się przecież płaciło — powiedziała filozoficznie Iwonna, czemu, acz z niewiarą, nie można było wręcz zaprzeczyć.

Assuncion poszła do katedry zapłacić mszę za duszę brata. Dobrze się właściwie stało, że wpadła wraz z Iwonną w ten kołowrót zajęć i handlowych namysłów, że nie mogła tak ciągle wspominać swojej straty. Katedra udekorowana była pięknie elektrycznemi lampkami, których druty owijały grube kolumny. Musiało to dobrze wyglądać wieczorem, kiedy wszystkie lampki były zapalone. Wewnątrz kościół był cichy i głuchy, zanadto rozległy.

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznej — biła się w piersi Assuncion. Potem poszła poszukać księdza, z którym można by się było umówić o modlitwy. Z pokorą pocałowała go w rękę.

Iwonna z Robinsonem była na obiedzie, nie chciało się jej przeszkadzać.

— Za czyją duszę — zapytał się rzeczowo ksiądz.

Serce Assuncion ścisnęło się boleśnie. Więc już wszyscy wiedzieli, że Pedro przestał istnieć, że pozbył się całkowicie ciała i wszystkiego, co ziemskie. że nie odniosło się do niego żadne słowo ze słownika śmiertelnych, że wyrazy, jakiemi się mówiło o ludziach, nie mogły już mieć do niego żadnego zastosowania. że, poprostu, stał się duszą.

Podniosła białą chustkę do ust, przez które żaden dźwięk nie chciał się przecisnąć.

— Za duszę Pedra grzesznika — powiedziała.

„W każdem mieście — ślubowała sobie Assuncion — gdziekolwiek mnie losy zaniosą... A potem spotkamy się w niebie“.

Tymczasem jednak trzeba było działać, i to nie na żarty. Iwonna nie brała pieniędzy za darmo, i nikt, kto z nią, lub u niej pracował, nie znajdował ich na podłodze. Przytem była to praca tego rodzaju, przy której trzeba nietylko wywijać rękami, ale i myśleć. Kto tego w Argentynie nie potrafił, przymierał głodem, za to, kto dobrze umiał, zdobywał miljony, w każdym razie w jakiejś walucie miljony, i to nawet w solidnej.

Cały dzień odbywało się przymierzanie, pasowanie, zachwalanie towaru i dam, które miały go nosić, a wreszcie wyśpiewywanie fantastycznych cen, bo ostatecznie kto i poco miał wiedzieć, że prawie wszystkie suknie były przemycane? Zresztą, jeżeli trzeba było coś skopjować, to natrafiało się na szalony wyzysk ze strony innych magazynów, handlarza jedwabiem, czy piórami, czy skórami zwierząt, które, chociaż znowu przemycane przy pomocy sutych łapówek (nie smarujesz, nie pojedziesz), zachowywały poziom cen krajowych, poziom tych głupców, którzy płacili cła. Może nielegalna, była to jednak zawsze obrona, trzeba było albo jeść, albo być zjedzonym.

Po ciężkiej pracy wychodziła Assuncion na spacer i szła bez celu długiemi, prostemi, ciągnącemi się na kilometry ulicami stolicy. Olbrzymie, dwumiljonowe przeszło miasto, dyszało letnim skwarem, proste, grube i wysokie palmy dawały mało cienia. Po alejach wspaniałych ogrodów Palermo kłusowali wytworni jeźdźcy na doskonałych koniach, które wstrząsały grzywą, rżąc donośnie. Koło stawu zakręcały powozy, pełne eleganckich dam, wśród których Assuncion rozpoznawała wiele swoich klijentek. Od słynnego Rosedalu pachniały upajająco róże. Tu

był Lasek Buloński Buenos Aires, miejsce spacerów pięknego świata.

Świat! Cóż to był właściwie świat? Stroma góra, na którą się ludzie pięli, aby, dosiągłszy szczytu, stoczyć się z drugiej strony w przepaść. W dodatku wiedzieli dobrze, ku czemu szli, ku czemu dążyli w takiem wysileniu i znoju. Młodzi, piękni, obdarzeni wszystkiemi darami natury, wyczekiwali z utęsknieniem następnego dnia, który przyniesie im starość, pomarszczy młodą skórę na ich policzkach, a chód ich elastycznych nóg uczyni ciężkim i niezgrabnym, aż póki ostateczna cisza, jak spieniona woda, nie pokryje ich kruchych kości. Wtedy dopiero wyzwoli się duch, żeby wieść jasny żywot w Bogu.

C. d. n.

SALOMEA KISIELEWSKA.

O KOCIE PUSZKU.

O kotach wogóle.

Znam różne koty i kotki. Znam wychuchane i wypieszczone Kundzie i Mikusie czarne i lśniące, które się codzień szczotkuje i perfumuje, które po całych dniach wałkują się po kanapkach i dywanach, a żywią się samemi smakołykami.

Znam także ponure, osmolone, wychudzone kociska, przemykające się wieczorami przez podwórze, chyłkiem, na skulonych nogach, z jednej piwnicy do drugiej, lub zbłąkane kocięta, miauczące żałośnie pod drzwiami cudzych mieszkań.

Znam szczęśliwe koty szwajcarskie, które są tak oswojone, tak zaprzyjaźnione z człowiekiem, że chodzą za nim, jak pies, a wieczorami zbiegają się na posiłek z wędrówek po przecudnych ogrodach, zwoływane przyjaznemi głosami swoich gospodyń.

Wiele już pisano o tych wszystkich kotach— czy należy zatem pisać jeszcze o Puszku?

Każdy jednak kot jest inny i poza cechami wspólnemi, że tak powiem, — ogólno-kociemi, posiada cechy odrębne, swoje własne, które przez współżycie z ludźmi mogą się bardziej rozwinąć. Nasz Puszek był stanowczo inny, niż jakiś Mruczek i dlatego pragnę wystawić mu pomnik.

Czyjem dzieckiem był nasz kot?

Cesio chciał koniecznie mieć kota, swoje, własne zwierzę. Do żołnierzy ołowianych można przemawiać, można ich posuwać za głowy do ataku, lub ucieczki, ale oni nie żyją naprawdę. Mieć coś żywego i własnego, to jest dopiero prawdziwe szczęście. Obiecałam mu, że poszukamy sobie kota.

Dozorca kamienicy, w której mieszkamy, miał pięknego, ogromnego kota angorskiego. Koty angorskie sierść mają długą, puszystą, a ogony takie prawie śliczne, jak wiewiórki. Bardzo pragnęliśmy mieć takiego właśniego kota. To też, kiedy dozorca pewnego dnia nam oznajmił, że w tym samym domu przyszły na świat kocięta, zamówiliśmy jedno dla siebie, spodziewając się, że będzie to dziecko kota dozorcy.

Kociątko, trzytygodniowe pewnie, było tak małe, że możnaby je schować było do kieszeni, przyczem tułów miało dziwnie krótki w stosunku do pokaźnego ogonka. Było białe i czyściutkie, tak wymuskane przez matkę, jak nie każde dziecko człowiecze, a włos miało taki puszysty, że jednomyślnie nazwaliśmy je Puszkiem.

Początki edukacji.

Do wychowywania Puszka trzeba się było zabrać niezwłocznie, nie miał już bowiem matki, na której spoczywałby obowiązek utrzymywania porządku w skrzynce, gdzie ujrzał światło dzienne. Wyjęliśmy więc duży, gliniany spodek z pod doniczki, nasypaliśmy tam złotego, wiślanego piaseczku i postawiliśmy w kącie za drzwiami.

Ażeby Puszek mógł rozwinąć należycie, wrodzone kotom, upodobanie do czystości, trze-

ba było zastosować odpowiednią metodę wychowania. Tymczasem jednak niema takich książek, któreby wskazywały, jak należy wychowywać koty, musiałam zatem stosować to, co robią wszyscy właściciele kotów na całej kuli ziemskiej, a mianowicie: dawać klapsy. Czyniłam to z wielką przykrością, bo nie lubię bić nikogo wogóle, a cóż dopiero stworzonka tak bezbronnego. Innej jednak rady nie było, przysłowiowy „koci łeb" z wielkim mozołem uczy się pięknych obyczajów.

Wieczorem przygotowaliśmy Puszkowi posłanie w kącie otomany w białym, kudłatym kożuchu zakopiańskim, który przez całe tygodnie świetnie zastępował mu matkę. Puszek nie zasypiał inaczej, jak ssąc kudły, mrucząc, piszcząc i pomiaukując rozkosznie.

Obok posłania ustawiliśmy tak ważny w życiu każdego kota, spodek.

Aliści kociak zrobił nam okropną scenę. Ponieważ do wieczora trzymałam go na kolanach, lękając się, aby mi maleństwa nie zadeptano, gdy zgasiłam światło i wyszłam z pokoju, wylazł natychmiast z kożucha, wgramolił się na wałek otomany i nuż miauczeć, piszczeć, zawodzić, jak prawdziwy, rozpieszczony bąk. Dwukrotnie musiałam go układać i dwukrotnie się awanturował. Uspokoił się po paru klapsach.

Po tej pierwszej nocy pokrycie otomany było dziwnie rozrzucone. Po dokładnem zbadaniu okazało się, że Puszek postąpił tak, jak od tysięcy lat postępowali jego angorscy dziadowie: zakopał pod wałek — to, o czem się nie mówi.

Czy mogło znowu obejść się bez klapsów?

D. c. n.

LIST DO REDAKCJI

Chcę się podzielić z czytelnikami naszego pisma wrażeniami z naszej wycieczki na Wystawę do Poznania, którą zorganizowała Szanowna Redakcja naszego pisma. Wyjechaliśmy w sobotę, dnia 21 września, o godzinie 2 m. 10 w południe. Zbiórka wyznaczona była na Dworcu między godz. 1 i 1½, koło okienka bagażowego. Mieliśmy się poznać po numerze pisma, który każdy uczestnik trzymać miał w ręku. Tymczasem jeden tylko pan umowy dotrzymał.

W drodze było bardzo wesoło, śpiewano chórem, rozmawiano, zawierano znajomości, a nawet próbowano tańczyć, przygrywając sobie na grzebieniu.

Przyjechaliśmy do Poznania o godz. 10½ w nocy, ale na kwaterę dostaliśmy się dopiero o godzinie 12-ej, gdyż kierowniczka wycieczki musiała otrzymać adres noclegu z biura kwaterunkowego, a tam podobno był wielki ścisk i trudno było docisnąć się do okienka. Przez ten czas czekaliśmy w poczekalni, gdzie także było przepełnienie. Wszędzie widać było tłumy ludzi, dużo różnych wycieczek, bo wszyscy korzystali z ostatnich dni Wystawy.

Na kwaterze dostaliśmy każdy swoje łóżko z pościelą i zajęliśmy całą salę.

Następnego dnia rano rozpoczęliśmy zwiedzanie od pałacu Sztuki, potem do pawilonu Polonia zagranicą i tak chodziliśmy od pawilonu do pawilonu, aż do obiadu. Obiad jedliśmy na Wystawie w restauracji Huggera, gdzie również było tłumnie i wielki ścisk, tak, że trudno było znalezc miejsce przy stoliku.

W poniedziałek zwiedzaliśmy Wystawę, a nawet poświęciliśmy jej część ostatniego dnia.

We wtorek rano oglądaliśmy miasto, katedrę, zamek, — wszystko podług planu, podanego w piśmie „Świat, Dom i Szkoła", a wieczorem ogród zoologiczny.

Wyjechaliśmy we wtorek o godz. 11.15 wieczorem specjalnym pośpiesznym pociągiem wystawowym.

Byliśmy z wycieczki bardzo zadowoleni, bo mogliśmy na niej zapoznać się z całą Polską i bardzo wiele dowiedzieć.

Najwięcej podobał mi się pawilon samorządów i pawilon ciężkiego przemysłu.

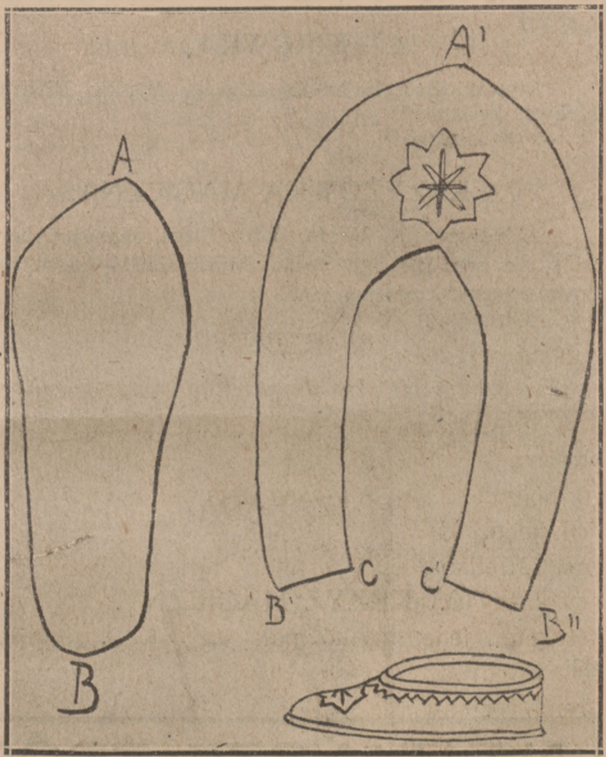
Wdzięczna jestem Szanownej Redakcji za trud poniesiony i ułatwienie nam zwiedzenia Wystawy, która pozostanie nam w pamięci przez całe życie.

Jedna z uczestniczek.

RADY PRAKTYCZNE

Domowe pantofle z resztek materjału i starych filcowych kapeluszy.

Chcąc sobie w domu sporządzić praktyczne i ładne, a przedewszystkiem tanie i mocne pantofle, trzeba przedewszystkiem zrobić sobie dobrą formę. Formę taką zrobić wcale nietrudno! Przedewszystkiem trzeba obrysować własną stopę, bosą lub w pończosze, postawioną na kawałku papieru. Następnie trzeba otrzymany kontur otoczyć drugim zarysem w odległości pół centymetra od poprzedniego, aby uzyskać w ten sposób formę na podeszwę właściwej wielkości. Teraz trzeba narysować na papierze formę na wierzch pantofla według załączonej ryciny. Rysując tę formę trzeba uważać, aby jej wielkość odpowiadała wielkości podeszwy. Da się to uzyskać, jeśli odległość między punktami A i B na podeszwie będzie wynosiła tyleż centymetrów, ile wyniesie odległość między punktami A i B na formie wierzchu pantofla. Odległość ta może wynosić np. 25 ctm., lub więcej zależnie od wielkości stopy. Aby się przekonać, czy forma jest dobrą, należy ją próbnie zeszyć, przyczem punkt C przyszywa się do C^1, punkt A do A^1, punkty zaś B^1 B^2 łączy się razem i przyszywa do punktu B. Jeśli forma okaże się dobrą, można ją zaraz przenieść na materjał, jeśli zaś nie jest zupełnie dobra, trzeba poczynić konieczne poprawki. Jako materjału na pantofle dobrze jest użyć grubego sukna, np. ze starego palta, lub kurtki, w braku zaś tego, grubej flaneli. Po skrojeniu można ozdobić wierzchy pantofli łatwem kolorowem wyszyciem, jak na rycinie, przyczem należy teraz wykonać tylko ozdobę środkową, brzeg ozdabia się dopiero po zeszyciu tylnego szwu wierzchu pantofla. Ten szew wykonuje się przedewszystkiem ,zeszywając na maszynie, lub w braku tejże, silnie w rękach. Teraz trzeba przyfastrygować podeszew i przyszyć ją równo, szyjąc po lewej stronie materjału. Po przyszyciu podeszwy, trzeba zeszyty pantofel na prawą stronę wywrócić. Odtąd wykańcza go się wyłącznie w rękach. Brzeg pantofla można oblamować kolorową tasiemką i ozdobić go wyszyciem. Wewnątrz należy włożyć jeszcze jedną podeszew, jako wyściółkę, skrojoną z jakiegoś miękkiego materjału n.p. z flaneli albo barchanu. Wyściółka ta powinna być nieco mniejsza od podeszwy, aby nie uciskała stopy, trzeba ją kilku ściegami do podeszwy przytwierdzić. Od strony zewnętrznej przyszywa się pod podeszew jeszcze jedną podeszew, tym razem wykrojoną z filcu ze starego kapelusza. Tę podeszew trzeba naokoło bardzo mocno przyszyć. Dobrze jest ją też przeszyć dla wzmocnienia kilku ściegami przez środek.



Takie pantofle starannie wykonane mogą być bardzo ładne!

Można je robić również i dla dzieci, także jako pantofle gimnastyczne, mogą być wtedy wykonane z grubego płótna i powinne być opatrzone w tasiemki do przywiązywania, lub gumkę, aby z nóg nie spadały.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Rozwiązania Zadań Letniego Turnieju Zadaniowego.

1. SZARADA.

Ka-ta-stro-fa na A-zo-rach.

2. ŁAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.

Wisła — Warta.

3. REBUSIK.

Poli-szynel.

4. BILET WIZYTOWY.

Redaktor odpowiedzialny.

5. SZARADA.

Ta-ra-pa-ta.

6. WIRÓWKA.

Pływak, Erotyk, Lektor, Epicka, Markiz, Elwira, Lichwa, Eparch.

Pêle — Mêle.

7. KRZYŻÓWKA MAGICZNA.

Abbiategrassa, burda, oolit, Circe, maneż, Ader, adur, eta, sen, Igo, aga, Roma, Alin, palad, lysol, sinus, Zosia (wspak), ostereognozja.

8. REBUS.

Rzeczy-wist-Aza-sługa-zys-kuje-pośm-je-rci-pochwa-ły.

Rzeczywista zasługa zyskuje po śmierci pochwały.

9. SZARADA.

Zie-mia-o-bie-ca-na.

10. KRZYŻ MAGICZNY.

Awionetka, Apolinary, Minimalny, Nienawiść, Fatalista.

11. PODWÓJNY LOGOGRYF.

I-szy logogryf — wzwyż, osika, tytoń, krasa, bujać, Zenon, broda, rowek, owada, szpic, Atlas, Praga, Łucja.

II-gi logogryf — prócz, jawor, bakun, uroda, hasać, Józef, twarz, karba, trach, pudel, Niobe, Kowno, Agata.

Witaj nowa placówko szaradowa!

12. REBUS WIROWY.

Łaty-godniki-lustro-Wany-Świat-do-Miszko.
Tygodnik ilustrowany „Świat, Dom i Szkoła".

13. KRZYŻÓWKA.

Poziome: Cork, Rapa, Sokola, szakal, krokowo, Yedykół, Korab, Sio, iwa, buk, Gra, Dou, Goa, era, Ion, Becal, pantera, Marozja, Akcjum, Regina, alfa, tuba.

Pionowe: Cekrops, Kra, Ruś, Arkadja, skotak, Likurg, klub, oko, Ybi, Łoza, Ichor, widmo, drop, Uganda, Gruzja, Anna, ewekcja, aba, Ilm, nerwica, Mża, Rut.

14. SZARADA.

Klej-no-ty-War-sza-wy.

15. ZADANIE KONIKOWE.

Gniewam się na te pieszczone ziemiany,
Co piwu radzi, szukają przygany...
Nie pij, aż ci się pierwej będzie chciało,
Tędyć się każde dobrem będzie zdało.

16. FIGIELEK REBUSOWY.

Men-tecap-tus.
Mente captus.

Wyniki „Letniego Turnieju Zadaniowego", oraz listę osób nagrodzonych podamy w następnym numerze.

Odpowiedzi:

(23) *P. Jan Kur. — Warszawa.* — Nie. Termin minął 21 września r. b.

(24) *P. H. Al...ówna — Warszawa.* — Począwszy od N-ru następnego.

Kierownik działu przyjmuje w lokalu Redakcji, we wtorki, od godziny 1.30 do 2-ej popoł. J. Ł.

Adres Redakcji i Administracji, Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 152-71.
Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.
Administracja czynna codziennie od g. 9-ej do 3-ej. pp.
WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.
Konto P. K. O. Nr. 19929.

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60. Telefon 293-47.